

W 1948 r. zacząłem pracować w Szczecinie, gdzie zacząłem studiować w szczecińskim oddziale Wyższej Szkoły Handlowej z Poznania na wydziale transportu morskiego po powrocie z Anglii. Pracowałem w CIECh-u, firmie eksportowej chemikaliów i aparatury chemicznej, którą w 1949 połączono z Centralą Transportów Morskich a potem przyłączono do Hartwiga. Pracowałem w firmie C. Hartwig w ekspozyturze Szczecin, prowadziłem import drobnicy.

20 października 1950 r. zupełnie niespodziewanie w nocy, chyba między 11 a 12, przyjechało UB. Było ich trzech, zrobili mi w domu rewizję. Znaleźiono zwolnienie z :7 Armii Amerykańskiej, dla której pracowałem w 1944 r. we Francji w Sekcji Służby Strategicznej. Z tej 7 Armii przeszedłem do 2 Korpusu gen. Andersa. Znaleźli także jeden biuletyn hartwigowski, miesięcznik, w którym były międzynarodowe stawki frachtowe i różne inne międzynarodowe wiadomości, opatrzone niestety nadrukiem - "do użytku służbowego" oraz dwa sprawozdania Centrali Zaopatrzenia Hutnictwa z 1948 r., których potrzebo wałem po prostu do studiów, a które walały się bezpańsko po biurkach, nie były nigdzie zamykane, gdyż były to normalne biuletyny do wiadomości pracowników. .... zabrali mnie do "cytryny" i zawieźli na UB w Szczecinie. Wpakowali do pojedynczej celi, przy czym w tej celi o wymiarach 1m na 3m było nas 10 czy 12. Siedzieliśmy tak przez parę nocy. Potem jakoś tak się złożyło, nie wiem jakim sposobem, że zostałem w tej celi sam aż do wyroku, który otrzymałem 2 lutego 1951 r. Chyba tylko dlatego tam siedziałem, gdyż brano mnie co noc od 12 do 6 rano na przesłuchanie. Polegało to na tym, że ja co noc pisałem życiorys. Jak go nie skończyłem to w następną noc znowu pisałem życiorys. Nie pamiętam ile ich napisałem, 20, 30 czy 40. W końcu straciłem rachubę. Specjalnie mnie nie bito, ale sadzano na "krzeselku demokratycznym" - taboret odwrócony do

góry nogami. Pamiętam jak na jednym posiedzeniu zrobiłem 200 przysiadów. Chcieli ze mnie wyciągnąć zeznanie, że jestem jakimś działaczem Polski podziemnej, nastanym szpiegiem, czy też czymkolwiek w tym rodzaju. W każdym razie nic mi nie udowodniono, niczego ze mnie nie wyciągnięto. W końcu chyba zrezygnowali ze mnie. Ale ponieważ był człowiek, był materiał /te biuletyny/ to i paragraf się znajdzie. 2 lutego 1951 zawieziono mnie na salę, akurat moja żona była w ciąży - pierwsze dziecko - w 4 czy 5-tym miesiącu. Dziwny to był sąd. Sędzia wojskowy w mundurze kapitana, jeden frajter i jeden szeregowy, bez prokuratora. Nie wiem czy sprawa trwała całą godzinę. Dostałem dwa i pół roku więzienia za nieprzestrzeganie tajemnicy służbowej i państwowej, "bo trzymał w domu biuletyn hartwigoński i CentroZapu i tym samym mógł narazić państwo polskie na wielką szkodę". A chodziło po prostu o to, aby faceta odizolować na dwa lata, dać mu trochę stalinowskiej szkoły, żeby wiedział, jak to się postępuje. W 1951 r. przesiedziałem jeszcze na Kaszubskiej w więzieniu śledczym dwa miesiące, w kwietniu zawieziono mnie do centralnego więzienia karnego w Goleniowie. Tam siedzieliśmy razem z esesmanami, z którymi traktowano nas na równi, jako wrogów Polski Ludowej. W ogrodzie więziennym zbieraliśmy rumianek, pracowało się 12 godzin od rana do wieczora. Słyszałem bardzo wiele rozmów współwięźniów o tym, że właśnie w Goleniowie wielu więźniów leżało na przywiązonym cmentarzu. Bardzo wiele słyszałem też o wyrokach wykonywanych na Kaszubskiej przez USB w Szczecinie. Słynna Kaszubska. Była taka piosenka więzienna "Wspomnij ten dom na Kaszubskiej". Po wyroku siedzieliśmy w więzieniu razem z wicedyrektorem szczecińskiego <sup>radio</sup>, nie pamiętam jego nazwiska, z wicedyrektorem Zarządu Portu w Szczecinie p. Doślą, skazanym za to samo co ja, z inżynierem Stanisławem Bochmiakiem, też za to co ja, w ogóle większość

ludzi, z którymi się stykałem, to ludzie skazani właśnie z tego "spaniałego" paragrafu "za tajemnicę służbową", pod który można było podciągnąć wszystko. Szeptanka i tajemnica służbowa. To było wtedy bardzo modne. Ktokolwiek był niewygodny, brano go i izolowano na kilka lat.

We wrześniu 1951 przewieziono nas w wagonach towarowych do Zaręby Górnej koło Lubania Śląskiego, gdzie był w budowie ośrodek pracy więźniów przy kamieniołomach. Najpierw pracowałem przy budowie tego ośrodka, a potem ze 2 albo 3 miesiące w kamieniołomach, gdyż podpadłem. Chcieliśmy sobie bowiem w 1951 urządzić wigilię. Któryś ze współwięźniów nas zakapował. Wpadli do tego pomieszczenia, w którym zebraliśmy się by tą wigilię urządzić, no i oczywiście noc wigilijną i całe święta spędziliśmy w karcerze. Były też inne szykany - wstrzymanie widzenia, wstrzymanie korespondencji. W kamieniołomach pracowałem najpierw na wyrobisku w Zarębie, potem na wyrobisku w Sulikowie. Skalnicy, pracownicy wyspecjalizowani, odstrzelali skałę, a myśmy dziesięciokilowymi młotami rozbijali te kamienie, których nie można było podnieść na lorke, wózek na szynach. Aż do końca pracowałem w tych kamieniołomach. Ładowało się dziennie po 15, 16 ton. I mimo tego, że w 1952 r. była amnestia, która mnie też obejmowała, albowiem miałem niski wyrok dwa i pół rok, gdyż faktycznie niczego mi nie udowodniono, wypuszczono mnie na wolność dopiero 10 stycznia 1953 r. Nie mogłem nigdzie znaleźć żadnej pracy. Wróciłem na Śląsk do Pszczyzny, skąd pochodzę, jednak wszędzie, gdzie przyszedłem i pokazałem zwolnienie z więzienia, a miałem przecież także ukończone studia w Szczecinie, ludzi zaś z wyższym wykształceniem brakowało, to najpierw mnie bardzo ciężano przyjąć, a potem jakoś brakowało etatu, czy też zmieniono etat i ja ciągle szukałem pracy. Wreszcie się zdenerwowałem i poszedłem do Komitetu Powiatowego w Pszczyźnie. Pokazałem im to zwolnienie

i powiedziałem "Obywatele, chyba znowu trzeba będzie iść do więzienia, bo przecież trzeba za coś żyć, trzeba utrzymać żonę i dziecko". Kazano mi czekać. Czekałem 4 godziny, po czym łaskawie skierowano mnie do Spółem w Pszczynie do księgowości na kontystę. Po pół roku zostałem kierownikiem działu finansowego, później zastępcą głównego księgowego. Potem pracowałem w Samopomocy, wybrano mnie na prezesa powiatowego związku, potem byłem kierownikiem zakładu WZGS-u w Opolu i we Wrocławiu. Cały ten czas miałem zakaz podejmowania pracy w przemyśle, o czym się przekonałem w 1967 r. kiedy to skończywszy pracę w Pszczynie przeniósłem się do Opola i chciałem się zaangażować do firmy handlu zagranicznego /znam 4 języki/. Odpowiedziano mi, że z moją przeszłością nie mogę tam pracować tak samo jak i w przemyśle. Nie mogłem też otrzymać paszportu aż do przejścia na emeryturę. Dopiero w 1988 r. dostałem paszport. Nie wolno mi było także, chociaż kierowałem zakładem, nadzorować tzw. kancelarii wojskowej, którą zwykle nadzoruje kierownik zakładu. Byłem cały czas, aż do końca obywatelem drugiej kategorii.